

**Zdzisław Kozioł**

## Szkolnictwo na przełomie

Wbrew pozorom tegoroczna rekrutacja do szkół średnich będzie wyjątkowo trudna, a jej doraźne i perspektywiczne skutki mogą się okazać wysoce kłopotliwe. Po raz pierwszy od kilku lat jest mniej kandydatów aniżeli miejsc, gdyż klasy VIII szkoły podstawowej są nieliczne; zmniejszone o część ubiegłorocznych siódmoklasistów, którzy podjęli naukę w szkołach zawodowych.

W Rzeszowskim w klasach pierwszych szkół zawodowych i reformowanego liceum ogólnokształcącego jest 18 700 miejsc, natomiast klasy VIII ukończy niespełna 19 tys. uczniów. Dotychczas o przyjęcie do szkół średnich i zawodowych ubiegało się około 90 proc. absolwentów szkół podstawowych; w tym roku wskaźnik ten będzie prawdopodobnie wyższy, ale mimo wszystko wielu szkołom, głównie niektórym zasadniczym zawodowym i przysposobienia rolniczego grozi niewykonanie planu przyjęć. Przeciwdziałanie temu zagrożeniu jest zadaniem o dużym znaczeniu gospodarczym.

Dla orientacji podam, że zasadnicze szkoły zawodowe mają przyjmując ponad 8 tys. uczniów, licea ogólnokształcące — 4,2 tys., technika i inne średnie szkoły zawodowe — blisko 3,8 tys. oraz SPR-y — 2 750 uczniów. Plus minus, co trzeci ósmoklasista będzie kontynuował naukę w pełnej szkole średniej. Czy jednak co trzeci nadzieje się do pełnej szkoły średniej? Zdania są podzielone. Wielu twierdzi, że w klasach VIII znalazła się młodzież zdolniejsza, że znaczna część, jeśli nie większość, porzuciła w szkole podstawowej, by móc kontynuować naukę w liceach.

Jest w tym sporo prawdy; kto chciał wcześniej usamodzielnic się — już w ub. roku szedł do szkoły zawodowej, jeśli osiągnął wymagany wiek. Należy się więc liczyć ze szczególnie dużym napływem kandydatów do liceów ogólnokształcących, a także do tych szkół zawodowych, w których z reguły uczą się dziewczęta. Dziewcząt w klasach VIII jest ponad 61 proc.

Z górą połowa 8-klasistów winna podjąć naukę w ZSZ i SPR-ach. Ale czy zechcą, skoro mają do wyboru inne szkoły? Kandydatów jest przecież za mało; przyjmowani więc będą także absolwenci z lat ubiegłych, których wówczas nie przyjęto z braku miejsc lub z innych przyczyn nie kontynuowali nauki. A chodzi tu głównie o młodzież wiejską, którą o tej szansie trzeba poinformować. Zadanie nie tylko dla szkół, ale także — jeśli nie przede wszystkim — dla organizacji społecznych, działających na wsi, zwłaszcza ZMW. Z listów napływających do redakcji wynika, że ci młodzi ludzie są pozostawieni sami sobie, proszą o radę i pomoc.

### Niebezpieczeństwo feminizacji

Najwięcej kłopotów przysparzają dziewczęta, dla których brakuje miejsc w szkołach. Poza liceami ogólnokształcącymi przyjmowane dotychczas z reguły do szkół ekonomicznych i gospodarczych, do których plan przyjęć jest obecnie wydatnie zmniejszony; na absolwentów tych szkół nie ma zapotrzebowania. Kuratorium zaleca więc zwiększenie ich naboru do szkół przygotowujących do zawodów tradycyjnie męskich. I tak np. wśród przyjętych do techników ma być 55,2 proc. dziewcząt, ZSZ dla niepracujących — 35,6 proc., ZSZ miedzynakładowych — 44 proc., ZSZ przyzakładowych — 27 proc., SPR-ów — 66 proc.

Jeśli wysiłek władz oświatowych nie będzie wsparty konkretnymi posunięciami czynników gospodarczych i politycznych, zaplanowane przez KOS limity nie będą wykonane. Dziewczętom pozostaną w zasadzie licea ogólnokształcące, które może przekroczyć nawet wyznaczony wskaźnik (70 proc.). Licea ogólnokształcące stanowią bazę rekrutacyjną na wyższe studia; nieuzasadnienie wysoki odsetek ucza-

nych się w nich dziewcząt powoduje feminizację wielu zawodów. A tendencja ta może się pogłębić, jeśli dziewcząt nie dopuści się do szkół zawodowych. W Rzeszowskim w średnich szkołach zawodowych jest ich proporcjonalnie więcej niż w kraju, natomiast w zasadniczych szkołach zawodowych — mniej. Kuratorium i Wydział Zatrudnienia Prez. WRN kładą szczególnie nacisk na zwiększenie liczby

## REKRUTACJA 1967

dziewcząt w szkołach przyzakładowych.

Ten złożony i zarazem ważny ekonomicznie i społecznie problem od dawna podnoszony był przez najwyższe w kraju czynniki i autorytety. Z jakim skutkiem? Według danych Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego udział dziewcząt w technikach elektrycznych wzrósł z 9,5 proc. do 11,6 proc., w technikach mechanicznych — z 7,6 proc. do 9,8 proc., w ZSZ o kierunku elektrycznym — z 17,5 proc. do 21,5 proc., a mechanicznym — z 4,7 proc. do 5,7 proc. Poprawa sytuacji nie jest zadowalająca.

Często obwinia się szkolnictwo. Istotnie, wiele szkół zawodowych woli chłopców, dyrektorzy przytaczają sporo argumentów, czasem nieistotnych, ale nie wolno zlekceważyć skarg: — Nasze absolwentki mają trudności z uzyskaniem pracy. Jeden z wiceministrów oświaty oświadczył dziennikarzom, że resorty gospodarcze nie gwarantują zatrudnienia absolwentek. Skutki takiego stanowiska dostrzegłem także w Rzeszowskim.

Szkołom podległym resortom gospodarczym KOS zalecił przyjęcie do klas pierwszych 62 proc. dziewcząt. Pobożne życzenie, bo np. jedna ze szkół otrzymała od swych władz ciche zalecenie nieprzyjmowania dziewcząt. Nie wymieniam nazwy szkoły, gdyż nie wiem, czy rzeczywiście w tym zawodzie mogą one pracować.

Dotychczas brano pod uwagę takie kryterium: czy praca jest lekka czy ciężka, a uwzględnijmy chociażby postęp techniczny lub technologiczny, który deaktualizuje tradycyjne wyobrażenia, stawiając z kolei inne wymogi. Dziewczęta należy kierować do zawodów nieszkodliwych dla organizmu kobiety. Ale to już podwórkę fizjologów pracy i innych specjalistów.

Czy w konkluzji można stwierdzić, że w Polsce nie ma koncepcji rozwiązania problemów szkolenia i zatrudnienia dziewcząt? Przed dwoma tygodniami Prezes Rady Ministrów wydał zarządzenie w sprawie zapewnienia w bieżącej 5-letniej kadencji przedsiębiorstwom na terenach o niedoborze męskiej siły roboczej; problem ten omawiano także na posiedzeniu Sejmowej Komisji Pracy i Spraw Socjalnych. Nie wnikając w szczegóły, bo kwestia wymaga odrębnego omówienia, podkreślę, że zarządzenie premiera zaleca kompleksowe podejście do tego zagadnienia z uwzględnieniem wymogów społecznych i ekonomicznych. Premier stawia konkretne zadania radom narodowym

oraz resortom, które podległym jednostkom mają wydać zarządzenia wykonawcze. Słowem, jest to dokument, który ułatwi przeprowadzenie tegorocznej rekrutacji, z tym jednak, że nie należy oczekiwać na zarządzenia wykonawcze, jeśli chodzi np. o zwiększenie udziału dziewcząt w szkołach przyzakładowych; ten wymóg już powinni uwzględnić dyrektorzy przedsiębiorstw.

### Talenty według rozdzielnika

Licea oraz szkoły zawodowe przygotowujące do zawodów unikalnych są bardzo popularne. Chodzi mi głównie o te drugie. Władze oświatowe uwzględniły raczej smutne doświadczenia z lat ubiegłych, kiedy przyjmowano głównie młodzież miejscową, co nastrożowało niemało kłopotów z zatrudnieniem absolwentów, podczas gdy w innych regionach specjaliści ci byli poszukiwani, a pracy nie mogli podjąć, chociażby z uwagi na brak mieszkań.

Władze oświatowe znajdują się pod ustawiczną presją, aby w poszczególnych miastach organizować szkoły unikalne, przy czym wnioskodawcy nie liczą się z sytuacją, jaka na rynku pracy zaistnieje za lat kilka. Kwestię tę już nieraz podnosiłem, wobec tego ograniczę się do skróconego przedstawienia koncepcji Kuratorium. Zalecilo ono mianowicie, by np. do Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Rzeszowie na specjalność monter aparatury radiowej i telewizyjnej oraz mechanika maszyn biurowych przyjęć po jednym uczniu z każdego powiatu.

Rzeszów żądał technikum hotelarskiego, a Przemyśl chemicznego; przyszłe potrzeby kadrowe w tych specjalnościach Kuratorium zabezpiecza rezerwując dla Przemyśla i Rzeszowa określoną ilość miejsc w już istniejących szkołach tego typu. W sumie rozdzielnik obejmuje 19 szkół, do których przyjętych będzie 1002 uczniów. Poza racjonalnym rozmieszczeniem siły roboczej oraz innymi pozytywnymi skutkami, które uwidoczniają się po latach, taki system rekrutacji stwarza większą gwarancję przyjęcia młodzieży utalentowanej; od tych uczniów wymaga się szczególnych zdolności, popartych pracowitością.

Lecz znowu obawy. Rozdzielnik opracowano starannie, ale czy władze miejskie i powiatowe będą go respektować, czy zgodzą się na uszczuplenie „zwykłego prawa”, że szkołę unikalną mają dla swej młodzieży. Dla swojej w dwójakim znaczeniu: z danego powiatu lub miasta, a także... swych dzieci. O różnych przejawach tego zjawiska sporo pisałem w latach ubie-

CIAG DALSZY NA STR. 2

**Wiesław Kulikowski**

Z tomiku „Zbieranie szronu”,  
który ukaże się w najbliższym czasie.

## Cyganie za Wisłoką

Usiadły wierzby między gwiazdami —  
zapraszają na księżycową noc Wisłoki.

— Słychać tętent liści  
i mknie zielona klatka  
za te srebrne góry na niebie,  
za czarne krzyżyki kart,  
za podpalone księżycem Złotniki.

— I dziecko płacze,  
zamknięte w skrzypcach.

— Stary Cygan Wisłokę głaszcze  
smyczkiem.



## Stary wiatrak w Złotnikach

Biały wiatr, na który rzucono wiersze —  
Don Kichot

wśród wiśniowych sadów,  
wystawiony przez gwiazdy do pola.

— W skrzydłach tysięcy ścieżek.  
W krzyż złożone ręce.

— Jechał na koniku polnym  
powieszony z rozpaczą  
na skrzydle.

— Żaby plotkują  
i wieś zabita gwiazdami  
wyrasta z żytem.



## Lato w Rzemieniu

Budowaliśmy ze słońca zamek  
nad płynącą miodem Wisłoką.

— Zawiesiliśmy słońce na oknie stawu

— i zęgnaliśmy ptaki,  
ubrane w wyprane, czyste obłoki

— piliśmy ścieżki  
na pożegnanie,  
odwróceniu do słońca buraczanych liści

— Nad złotą ziemią latały motyle naszych rąk,  
wydarto promieniom.



Chyba już rzeczywiście zima się skończyła?..

# W niegłowickim klubie fabrycznym

Od pewnego czasu coraz częściej mówi się o interesującej działalności Klubu Fabrycznego Rafinerii Nafty w Niegłowicach. Ten niezbyt przecież liczny personalnie zakład produkcyjny z podjasielskiej miejscowości potrafił stworzyć dla swych pracowników, ich rodzin i całego środowiska — wszechstronne warunki do nauki i zabawy, odprężenia po pracy i tak zwanego czynnego wypoczynku.

Wszystko, co się tutaj dzieje, jest wynikiem społecznego zapotrzebowania. Dyrekcja, rada zakładowa i kierownictwo klubu wychodzą naprzeciw tym potrzebom. Stąd też niegłowicki ośrodek działalności kulturalno - oświatowej co wieczór tętni życiem, a kierownik Józef Kobak nie bez dumy mówi o wysokiej frekwencji członków, aktywnej działalności zespołów i sekcji zainteresowań oraz „niezrzeszonych” gości, którzy przychodzą tu do Klubu Książki i Prasy „Ruch” oraz sali telewizyjnej.

Wizytówką klubu jest przede wszystkim niegłowicki zespół pieśni i tańca, prowadzony przez instruktorkę Wandę Ryś (tańce) i Bolesława Patera (kierownictwo muzyczne). Na swoim koncie ma szereg opracowanych programów i jeszcze więcej udanych koncertów, czego potwierdzeniem niech będzie zajęcie drugiego miejsca w finałowym koncercie Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. Zespół ten otrzymał ostatnio Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego za popularyzację regionu.

Dużymi sukcesami mogą się również pochwalić entuzjastki żywego słowa. To właśnie na niegłowickiej scenie, jeszcze przed premierą rzeszowskiego teatru, wystawiono sztukę M. Domańskiego „Ktoś nowy”, bardzo życzliwie przyjętą przez publiczność. Natomiast „Estrada Poetycka” aktualnie opracowuje programy z okazji 25 rocznicy powstania PPR i 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. O poziomie nie można powiedzieć marnego słowa, skoro niegłowicki recytatorzy, którym przewodzą Józef Kobak docierają ze swymi programami na najwyższy, centralny szczebel.

Oto nieliczne zaledwie przykłady świadczące wymownie o dobrej robocie działu artystycznego Klubu Fabrycznego Rafinerii Nafty w Niegłowicach. A jest przecież jeszcze szeroki zakres działalności szkoleniowej i środowiskowej.

Działają tu ogniska muzyczne, w którym gry na różnych instrumentach uczy się 60 osób. Największym powodzeniem cieszy się akordeon, fortepian, skrzypce i gitara... Rzecz charakterystyczna — skrzypce są tutaj instrumentem bardziej wziętym niż właśnie gitara! To chyba wymownie świadczy o szerokich zainteresowaniach muzycznych niegłowickiej młodzieży, zaintereso-

waniach wykraczających poza zaczarowany krąg big-beatu.

Ale nie tylko oświata muzyczna! Przy niegłowickim klubie działa punkt korepetycji dla dokształcających się pracowników rafinerii, jest tutaj kółko fotograficzne, w którym, zwłaszcza młodzi chłopcy, poznają tajniki fotografowania. Jest wreszcie zespół politechniczny, nad którym opiekę sprawuje miejscowe koło NOT. Te dwie specjalistyczne grupy otrzymały ostatnio ładne, przestronne pomieszczenia, wygospodarowane po adaptacji piwnic. Warto nadmienić, że prace te wykonano w czynie społecznym.

Trudno nie wspomnieć o bibliotece związkowej, dysponującej zestawem około 9 tysięcy woluminów i działającym przy klubie związkowym kinie. Aby dać jeszcze pełniejszy obraz różnorodności działalności niegłowickiego klubu, należy również powiedzieć o kole miłośników sztuki, którego członkowie toczą zażarte dyskusje na temat oglądanych filmów i programów telewizyjnych.

Innymi słowy — dyrekcja i rada zakładowa Rafinerii Nafty w Niegłowicach potrafiły zadbać o kulturalne zainteresowanie pracowników niegłowickiego zakładu i ich rodzin. Tak spędza wolne chwile załoga rafinerii, zakładu, którego co piąty pracownik jest członkiem któregoś z zespołów klubu fabrycznego, laureata nagrody Centralnej Komisji Koordynacyjnej do spraw Uo-wszecchnienia Kultury za całokształt działalności ideowo-artystycznej.

W województwie rzeszowskim działa kilka placówek tej samej okłoby niegłowickiej kategorii. Klub Fabryczny z Niegłowic jest jednak wzorem godnym naśladowania.

JULIAN WOŹNIAK



ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „NIEGŁOWICE”  
Fot. — OLMA

Jan Grygiel

# WOŁANIE JEMIOŁY

Jan Bolesław Ożóg w swoich nowych wierszach odrzucił chyba bezpowrotnie doktrynę autentyzmu. Stała się dla niego za ciasna, zbyt ograniczająca jego możliwości twórcze. Pojawił się poeta wizjoner i mistyk, bardziej zbliżony do Leśmiana niż do Czernika czy Frasiaka. Ale wizjonerstwo Ożoga jest osobliwego rodzaju. Ma rodowód jak najbardziej ziemski, wywodzi się z postawy „naturysty”, jak go kiedyś określił Zbigniew Bieńkowski, naturysty z buntowanego przeciw procesom cywilizacyjnym. Jest w tych nowych tomikach już coś więcej niż „krzyk żalu wsi odchodzącej” (A. Kamińska), niż poczucie wyalienowania i nieprzystosowania chłopiejskiego syna w świecie miejskim. Raj utracony na wsi kompensuje poeta przetworzeniem całego świata w krajinę chłopską, w wielką wieś. Buduje je realiami wiejskiego krajobrazu, tradycyjnymi chłopiejskimi pojęciami, obyczajami i atawizmami, motywami ludowej mitologii czy wreszcie twórczą stylizacją językową. Stąd, nawet w apokaliptycznym obrazie zindustrializowanego świata pojawiają się takie skojarzenia.

„...słuchając, jak kłkają na ekranie  
żelazne hale kombinatów  
jak puszcze dziewczęce i ptasie  
i rechotają Diesle  
jak żaby w polskim stawie  
piszcza silniki jak skowronki...  
(„Parabola” — z tomiku „Spokój”).

Ale Ożóg idzie jeszcze dalej — zbuntowany przeciw urbanizacji i industrializacji pojętej jako Apokalipsa tęskni do całkowitego utożsamienia się z naturą, wtopienia się w nią bez reszty jak leśmianowski „topielec zieleni”. Biologia, ziemia, natura, nie tracą przy tym cech konkretnych i realnych, nabierają równocześnie wartości prawie mistycznych i mitologicznych — stają się wymaganą krajiną ucieczki przed nieprzystosowaniem i poczuciem zagrożenia współczesnego człowieka. Wiadomo, że osobowość

twórcza Ożoga wyrasta z licznych obsesji, kompleksów, wynikających zarówno z jego biografii jak i struktury psychicznej. Natura pojeta jako symbol najwyższej, bo zanikającej we współczesnym świecie wartości stano-

wi dla poety lek przeciwko frustracji. Dlatego liryczny bohater Ożoga idzie za głosem wołającej jemioły z wiersza tytułowego tomiku „Jemioła”, marzy o powrocie przez dziuple wierzbową do jej korzeni („Mit”) lub woła:

„...Gdzieś ty? Gdzieś ty? Znowu się spóźniła  
jedną ręką ściskam dłoń leśniczyny,  
rękaw głaszczę z rozpaczyliwych liści,  
czekam, czekam znow w jabłonnym gaju.  
Odprowadź mnie, jeśliś ziemią, miłą,  
w łaci nocy i gaszce jabłoni,  
kiedy znow jak trumny zakwitają...”  
(„Jeśliś ziemią” — z tomiku „Jemioła”).

W wierszu „Cmentarz” wzdycha: garniasz ramionami nocy młodej... a  
...Ziemia jakże ciagniesz, jak przy- w „Skardze”:

„Rzeko, rzeko w zapasce z podbiału,  
dziewczyńno — strużyno, bura, dzika,  
jeśliś twój kamień  
w rodzone i ślepe zagarnij mnie wody...”

Jak już wspominałem, w „Jemiole” natura ma dwoisty charakter. Jest jak zwykle u Ożoga, konkretna, rzeczowa, szorstka w swej rzeczywistości, a równocześnie nie zmitologizowana i balladowa, z tym, że ta baśniowość i balladowość nie nosi na sobie piętna literackości — jest autentycznie ludowa. Mitologia chrześcijańska łączy się tu z bóstwami słowiańskimi, realia religijne rodem z wiejskiego kościółka, owe ornaty, feretrony, kantycy, organy, akcesoria trumienne i ludowe światki w takim nasileniu występujące w pierwszych zbiorach wierszy Ożoga — krzyżują się z obrzędami pogańskimi. Zielone światki zamieniają się w bożków zieleni. Duch Święty występuje obok Lela, Matka Boska bywa Łada. Sa tu Marzanny, Dziedzille i Peruny, ale także Wodnice, pianetniki, Poświsty i straszce dzieci Bobo. A więc nie wieś konkretna, ale ponadczasowy żywioł przyrody i rustykalizmu jest krajiną ucieczki od świata dla poety.

Ale w „Jemiole” nie ma Arkadii szczęśliwej. Zbyt dużo tu tęsknoty do śmierci, do materialnego i dosłownego połączenia się z ziemią, zbyt dużo mo-

tywów rozkładu, krwi i gnicia („Hierarchia”, „Krowy”, „Attis”, „Odejście”, „Wyrok” itd.).

Mimo balladowości i baśniowości tomiku, nurt poezji Ożoga nie przeszedł być ciemny i gesty. Także w formie te wiersze są pełne niepokoju, świadomych zgrzytów, prowokacyjnej brutalności i szorstkości. Ich zgrzebność daleka jest od harmonijności, umiaru i ładności.

Te same cechy w większym jeszcze nasileniu wystąpiły w następnym z nowych tomików Ożoga — „Spokój”. Nie ma w nim zresztą mowy o spokoju. Tu silniej jeszcze objawia się czarne wizjonerstwo poety — te wiersze ukazują bowiem obrazy niszczenia i zagłady natury. Przeróżając katastroficznymi wizjami, Ożóg broni instynktu życia, trwania i biologicznego ładu świata. Autor prawie tęskni do dawnych kataklizmów, do moru, ognia i wojny za czasów Temudyna, gdyż:

„...I ogień szedł i mór od łuków jego,  
ale w sprzeczności nie stał z zoologią,  
i nie stał w sprzeczności nawet z botaniką.  
On stał w sprzeczności tylko z koronami ziota.

„...To były czasy w polach, lasach, borach!  
Zwierzyń dżuma nie miała się.  
I nie kotysał się Pacyfik  
przed dżumą tak jak dzisiaj się kotysza.  
Już taka dżuma nie do pomyślenia...”  
(„Temudyn” — z tomiku „Spokój”).

Wszystko to, co jest sprzeczne z zoologią i botaniką grozi światu zagładą — nadmierny rozrost industrializacji („Z pamięci”, „Parabola”), bomba atomowa („Wapień”, „Stront”, „W chwili wybuchu”, „Kamienie”), czy po chód miast na wolne przestrzenie ziemi („Nowy Jork”). Wzrusza go i przeraża nawet śmierć lasów brzoźowych ginących wskutek nieznannej choroby.

Trudno twierdzić, że katastrofizm Ożoga wyraża lęk i niepokój typowego człowieka naszej epoki. Jest chyba tylko jedną z postaw wobec współczesności. Można z takimi prognozami na przyszłość dyskutować, przeciwstawiać im optymistyczną wi-

zę świata. Ożóg, poeta uwikłany w dramatyczne konflikty nieprzystosowania, w kompleksy „odmieńca”, zbuntowany przeciw cywilizacji i technice wielbiciel natury — ma prawo do obaw. To są zresztą także przestrogi, a tych nigdy za mało. Gdyż ten poeta wizjoner i mistyk nie odrywa się ani na chwilę od spraw naszej Ziemi i swoje wloty poetyckie czerpie z konkretnej rzeczywistości naszej epoki.

J. Bolesław Ożóg: „Jemioła”, W-wa LSW, 1966 r.  
J. Bolesław Ożóg: „Spokój”, PIW — W-wa 1967 r.

# REKRUTACJA 1967

(Ciąg dalszy ze str. 1)

głych — ku niemałej irytacji zainteresowanych, co w konsekwencji utrwaliło mnie w przekonaniu, że praca publicysty oświatowego nie jest bynajmniej wziędną, zwłaszcza, gdy pisze o rekrutacji do szkół atrakcyjnych. Nie będę przedrukowywał artykułów z lat ubiegłych, ale przypuszczam, że i w tym roku szkoły te znowu znajdują się pod przemożnym naciskiem...

**Przestrogi, lecz nie insynuacje**  
Powyższa uwaga nie jest bynajmniej insynuacją; po prostu skoro przed bramą szkoły jest tłok, wielu rodziców będzie usiłować wszelkimi sposobami wpłynąć na decyzję komisji przyjęć. Ale często w wyniku tych nacisków lub zabiegów, naukę podejmuje uczeń nieprzede wszystkim o danej szkole, odpada zaś inny, nieraz nawet zdolniejszy lub taki, któremu z wielu względów trzeba pomóc.

I tu wylania się doniosła rola zarówno szkoły podstawowej, jak i średniej. Pierwszej, by pomogła wybrać zawód, przekonać rodziców, by nie posyłać dziecka do szkoły trudnej, jeśli nie wykazuje ono w tym kierunku uzdolnień. Nauczyciel szkoły wiejskiej ma zadanie szczególnie utrudnione; winien np. przekonywać rodziców, by w jednych z spadkobierców posyłać do szkoły r o l n i c z e j. O tych sprawach żałaliśmy już wielokrotnie na naszych łamach. Wsie w wielu regionach Rzeszowszczyzny są przelud-

nione; dzieciom z rodzin wielodzietnych trzeba zapewnić miejsca w szkołach pozarolniczych, ale spadkobiercy muszą opanować zawód r o l n i k a.

Do ważnych zadań nauczyciela szkoły podstawowej zaliczyłbym specjalne opiniowanie uczniów utalentowanych, by w atmosferze „głody egzaminacyjnej” nie zostali niezauważeni, a takiej ewentualności nie wykluczam, zwłaszcza wówczas, gdy kandydat jest wybitnie, lecz jednostronnie uzdolniony. W tym zakresie szeregowa rolę spełniają poradnie zawodowo-wychowawcze; opinia lekarza, psychologa i pedagoga — jak wykazuje praktyka — jest bardziej miarodajna aniżeli tradycyjny egzamin wstępny.

I jeszcze jedno: uwzględnienie sytuacji społecznej, rodzinnej kandydata. Mam na myśli chociażby sieroty, półsieroty, dzieci z rozbitych małżeństw, jakże często trudne i kłopotliwe. Słowem chodzi o maksymalnie zindywidualizowane podejmowanie decyzji. Wiem, że czytając to, nauczyciel może źle o mnie pomyśleć, bo to są sprawy oczywiste, a egzamin i kwalifikowanie kandydatów jest harówką, którą zna tylko ten, kto w tym młynie pracował. Sporo przykładów jednak upoważnia mnie do poczynienia tych uwag. Ten aspekt zagadnienia podnoszę i dlatego, by wyłącznie nauczycielom pozostawić decyzję co do tego, kto nadaje się na ucznia szkoły średniej...

Zresztą, uprawnienia szkół są w tym roku większe. W pewnym stopniu zdecentralizowano system przygotowania egzaminów; tematy prac pisemnych przygotowują nie kuratoria, lecz egzaminator, a zatwierdza je dyrektor szkoły. Władze oświatowe zalecają ośrodkom metodycznym udzielania w tym zakresie niezbędnej pomocy szkołom; niektórzy obawiają się, że tematy mogą być proporcjonalnie trudne do tłoku przed bramami szkół...

Ale tej kwestii rozwijać nie będę; instrukcja Ministerstwa pod tym względem nie budzi wątpliwości. Zacytuje tylko jeden jej fragment: „Tematy egzaminu wstępnego stanowią tajemnicę służbową do chwili rozpoczęcia egzaminu...” W latach ubiegłych tematy przygotowywały kuratoria, ale zdarzały się wypadki, że część młodzieży dowiadywała się o nich dostatecznie wcześniej, by zdążyć przygotować się do egzaminu z... danego tematu. Fatalne były skutki moralne tych, z pewnością sporadycznych, „przecieków” z kas pancernych okręgowych władz szkolnych.

Rekrutacja do szkół średnich jest rzeczywiście poważną akcją o charakterze społecznym i gospodarczym; kształcenie nie jest wyłącznie prywatną sprawą jednostki. Przebiegiem rekrutacji interesuje się wiele czynników, ale jej rezultaty zależą głównie, jeśli nie wyłącznie, od szkoły i nauczyciela.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

## KALMAN SEGAL

# GDZIE MOTYLE GDZIE HASAJA

FRAGMENT POWIEŚCI

„Do okna pokoju archiwariusza Jerzego Kobalewskiego ktoś lekko zapukał, w pierwszej chwili zdawało się, że to wiatr porusza rozluźnioną szybę, ale to nie był wiatr, to była jakaś kobieta postać. Archiwariusz poznał ją dopiero po chwili, dopiero kiedy otworzył okno i ona zbliżyła twarz do jego twarzy i rozplakała się.

Cicho, żeby nie obudził gospodyni śpiącej w kuchni, otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Stała w ciemnym pokoju, wysoka i nieruchoma jak posąg. Zdjął z niej płaszcz i chustę, dotknął jej ramienia — drżała. Dotknął jej włosów — były jedwabiste, wyciągnął z nich szpilkę kościaną i obfita fala włosów osunęła się na jej plecy. Regina Dampf skłoniła głowę na jego ramię i rozplakała się.

Chaotycznie opowiadała mu o sobie, o tym, co przeżyła od pierwszego dnia wojny. O wysiedzeniu z domu, w którym się urodziła, bardzo była do tego domu przywiązana. Przez kilka miesięcy żyła w getcie, we wspólnym pokoju zapluskowanym i cuchnącym fekaliami. Gdyby nawet nie było na świecie hitlerowców ani głodu i strachu, to i tak byłoby tam gorzej niż w piekle.

Pewnej nocy zjawił się w getcie, właśnie pod oknem tego pokoju w którym ona była, Wołodia, syn ru-

skiego księdza. Był w towarzystwie również jak on pijanego ukraińskiego żołnierza — zapukał w szybę i zapytał o nią. Sądziła, że przyszedł, żeby ją zabić, a oni przeprowadzili ją przez zamaskowaną dziurę w parkanie. Pół roku Regina Dampf siedziała w skulonej pozycji pod podłogą cerkiewną i codziennie wysłuchiwała przytłumionego bicia dzwonów, kroków i modłów wiernych, a w niedzielę był chór, diakon i ksiądz, śpiewali partie solowe. A obok Reginy Dampf, na tym samym jednym postaniu, w absolutnej ciemności leżała Maria, córka żydowskiego grabarza. Przed wojną Maria krótko była żoną Wołodii, potem odeszła od niego i żyła z niejakim Hersz-Lajbem Dobkiesem. Pewnego dnia hitlerowcy powiesili Hersz-Lajba, a ich dziecko, to znaczy dziecko Marii, zmarło na tyfus. I wtedy Wołodia przypomniał sobie o swojej żonie, ulitował się i wykradł ją z getta. Ale Maria nie była już normalna. Robiła wrażeń obłąkanej, i Wołodia pomyślał, że obecność drugiego człowieka dobrze jej zrobi. Pewnego dnia Wołodia przeprowadził jeszcze trzecią kobietę, starą Żydówkę, którą spotkał na ulicy. Tkwiły teraz obok siebie, trzy nieszczęśliwe istoty, zupełnie sobie obce, a zdane na wój jemne i wyłączone najbliższe towa-

## Jerzy Pleśniarowicz laureatem nagrody związkowej

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Jerzy Pleśniarowicz kierownik literacki i reżyser Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie został wyróżniony nagrodą Centralnej Rady Związków Zawodowych. Jerzy Pleśniarowicz dzieli swoje zainteresowania teatralne pomiędzy prace na macierzystej scenie i działalność poświęconą popularyzacji teatru.

Jerzy Pleśniarowicz jest również wieloletnim współpracownikiem „Widnokragu” i dał się również poznać czytelnikom „Nowin” jako poeta, popularyzator i tłumacz utworów z języków: rosyjskiego, słowackiego i czeskiego.

Są namiętności — mówi Jerzy Pleśniarowicz — z których człowiek nie może się wyleczyć. Moje kontakty z amatorskim ruchem artystycznym i działalność w dziedzinie upowszechnienia kultury trwają już 21 lat. Bardzo mnie cieszy klimat wytworzony wokół teatru, coraz liczniejsze grono jego sympatyków i oczywiście sukcesy odniesione przez rzeszowian w Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych.

stwierdzeniem: że od własnej decyzji nie jest w stanie uwolnić człowieka nikt i nic, żadne społeczeństwo, ni żadna etyka.

Myszę, że taką „Antygonę” zobaczył właśnie Jerzy Pleśniarowicz — reżyser tego spektaklu w Teatrze im. Siemaszkowej. Ze zobaczył nie tyle „Antygonę” zrywu i racji politycznych, ile „Antygonę” racji moralnych. Ze interesowały go wszystkie problemy z moralnością związane, z dokonaniem dobrego wyboru. Ze ocalił w „Antygonie” nie tyle współczesną dyskusję, która miała sens w 1957 roku, ile to, co właśnie samego Anouilha urzekło w sofoklesowym dramacie — jego ponadczasowość, skonfrontowaną wszakże z konkretnym momentem historycznym, albo raczej z konkretną świadomością poziomu intelektualnego społeczeństwa.

Krystyna Świerczewska

# Wahanie każdy wybór rodzące

Możliwości dramaturgiczne Anouilha są ogromne, duch — niespokojny, poszukujący; ambicja go pożera. Bo jakąż trzeba mieć ambicję, by próbować lepiej (bo któż chciałby próbować gorzej?) powiedzieć to, co zostało powiedziane genialnie? Myszę naturalnie o „Antygonie” Sofoklesa — owym arcywzorze ironii tragicznej, gdzie racje nie są jednoznaczne, ale gdzie moralność — racja boska postawiona w starciu z racją stanu — racją ludzką, musi zwyciężyć. U Anouilha nie ma już racji boskiej — są dwie racje ludzkie, ba, może arcyduskie. Dlatego Kreon jest mniej krwiożerczym tyranem, a Antygona bardziej upartą dziewczyną. Kreon jest stary i mądry; Antygona nieświadoma świata, nieco wyizolowana z jego praw, buntuje się przeciw nim na zasadzie czystego, szlachetnego żywiołu.

I właściwie niewiele by się pozornie zmieniło w tym układzie faktów, gdyby Anouilh nie porozmieszczał argumentów i kontrargumentów, tak że czytelnik prawda raz pobrzmiwiał „rzeczywiście” jako prawda — w innej interpretacji znowu jako fałsz, że fałsz rzekomo obiektywny, nagle traci swoje ujemne znaczenie i dosłownie na naszych oczach zaczyna brzmieć szczerą prawdą. W to wielkie racji wymieszanie wkraczamy dziś jako w dyskusję właśnie o prawdzie; przed laty dziesięć, kiedy grano „Antygonę” jako dyskusję polityczną, najważniejsze było pytanie o świadomy wybór między żywiołową, spontaniczną szlachetnością, czyli zrywem uczuć, a rozsądną, zimną dyscypliną wiodącą do celów poprzez indywidualne uczucia czasem i zrujnowane, ale w końcu zawsze mniej ważne od racji stanu.

Polinejkes i Eteokles — dwaj bracia Antygony są tylko pretekstem do dyskusji; jakimś roznamietniającym spór zarzewiem. I dlatego, w takim potraktowaniu punktu zapalnego, racje Kreona nie mogą być jednoznacznie złe; a postępek Antygony — jednoznacznie szlachetny. Kreon może przegrywać z historią, jak to wszyscy na ogół oceniali, a contrario — Antygona z nią wygrać powinna. Ale czy odwaga posiada sama w sobie wartość moralną? — Przecież nie; przecież może być użyta i w złym, i w dobrym, przecież nie ma żadnej wartości, gdy pozostaje w sferze abstrakcji, gdy nie sprawdzi się w rzeczywistości.

I o to sprawdzenie w rzeczywistości odwagi Antygony walczy Anouilh. I wie się przy tym, że z kolei on wie, iż moralność jest zjawiskiem społecznym, wie, że działania moralne nie mogą mieć miejsca na bezludnej wyspie, że występują tylko tam, gdzie jest współzycie ludzkie, że istnieje pojęcie etyki normatywnej, posługujące się normą i oceną, że określone warunki historyczne decydują o postawach społecznych, że wiedza — to istotny czynnik w rozwiązywaniu sytuacji moralnych, że niektóre normy moralne są suche, wręcz abstrakcyjne i dlatego nie zawsze mają przystęp do świadomości człowieka. Wie poza tym, że rodzą sytuacje konfliktowe, w których nie idzie o dobro lub zło, bo sytuacje konfliktowe dotyczą ludzi, którzy chcą dobrze postępować, ale idzie o dobry wybór, rodzący zawsze udrękę moralną.

I to, co tutaj piszę i co jest z góry założoną obroną racji kreonowych przez dramaturga, konfrontuję Anouilha z innym, głębokim

Było to przedstawienie trudne: przewrotnie kompromitujące wybór Antygony, a jednocześnie bez nachalności biorące w obronę Kreona — tu: starego, zmęczonego i przede wszystkim mądrego człowieka.

Ta mała, niepozorna, pełna sprzeczných sądów, ludzkich wahań dziewczyna Joanny Jarzębskiej — dobrze zagrana, silna pięknoscia odwagi, uporem denerwująca spróbowała trudnej sztuki: zagrała moment zupełnej niewiary w swój wybór przekonująco i ze współzuciem dla samotności Kreona. A później niedorzecznie zginęła.

Kreon zaś przywalony ciężarem odpowiedzialności, świadomy tej odpowiedzialności i zupełnie od niej się nie uchylający, pozostał w samotności niemal absolutnej; dawno przekonany, że tak się stanie. Kreon Michała Lekszyckiego zrobił to dobrze; podobał mi się. Był tak bardzo zmęczony i silny argumentacją mądrą — że to było wszystko, czegom oczekiwała. Był spokojny; wiedział, że istnieje takie święte pojęcie, jak umiar i nie dał się wciągnąć w żadne manieryczne gierki, skoki nastrojów, nadmierną ekspresywność. To była satysfakcja dwójga aktorów, do której muszę dopuścić jeszcze Strażnika I — Jana Adamskiego — postać poza wyborem moralnym, smutną jak samo życie — brutalną jak samo życie.

Był jeszcze w tym przedstawieniu Chór — Prolog Ryszarda Krzyżanowskiego, jakiś odautorski komentarz tragedii, nagrany tak bardzo diabolicznie, że muszę winić reżysera, iż dopuścił do rozdzicia jednolitej dyskusji zbyt dużą dawką nonszalancji; była Ismena Jadvigi Ulatowskiej przybrana w nie-



ładny kostium i wyraźnie źle czująca się w tej roli mało wyrazistej, choć próbująca ją ustawić na właściwym poziomie; była piastunka Ireny Żuromskiej — ciepła, sympatyczna, ale też rodem nie z tej „Antygony”, lecz teatru naturalistycznego.

Była scenografia Jerzego Szymańskiego, która mi na pewno nie przeszkadzała, a nawet podobała mi się z pajęczą ścianką markującą kurtynę, ale cóż na Zeusa, zrobił Szymański z niektórymi kostiumami? Była jeszcze muzyka Jerzego Kaszyckiego, przeniesiona z krakowskiego spektaklu Jerzego Kaliszewskiego — znakomita.

I był pech, który nie pozwolił wykonawcom przygotować tej premiery w normalnym tempie, zmusił ich do pracy wyczerpanej, pospiesznej; przyniósł długotrwałą chorobę aktorki grającej Antygonę, zastępstwo szybko przygotowane przez Elżbietę Zagórską (niestety, nie widziałam jej), słowem pech, jaki trzeba odnotować tu dla sprawiedliwości i wysiłku twórców spektaklu ambitnego, zapisanego w pamięci nie tylko premierowego widza na pewno pozytywnie.

*Antygona — Jean Anouilh  
Tłumaczenie: Jadviga Dackiewicz  
Reżyseria: Jerzy Pleśniarowicz  
Scenografia: Jerzy Szymański  
Muzyka: Jerzy Kaszycki*

Osoby:

*Michał Lekszycki (Kreon)  
Joanna Jarzębska (Antygona)*

**Teatr im. W. Siemaszkowej: Jean Anouilh — „Antygona”.** Przekład Jadvigi Dackiewicz. Reżyseria: Jerzy Pleśniarowicz. Scenografia: Jerzy Szymański. Muzyka: Jerzy Kaszycki. As. reżysera: Henryk Gońda. Osoby: Joanna Jarzębska, Jadviga Ulatowska, Irena Żuromska, Michał Lekszycki, Bogdan Kiziułkiewicz, Jan Adamski, Władysław Trojanowski, Henryk Gońda, Ryszard Krzyżanowski. Premiera 12 lutego 1967 r.

rzystwo, leżały niemal nieruchomo, ponieważ zbyt ciasno tu było, zbyt ciasno, żeby żyć i poruszać się, ale jeszcze dość luźno, by nie umrzeć; dusiły się, mało było powietrza w tej kryjówce, poty oblewały je, choć leżały tu prawie nago.

Przez ostatnie trzy dni Wołodia nie pojawił się ani razu, stara kobieta mdlała z przagnienia, a wody mieli już tylko jedną butelkę i wtedy Regina zdecydowała się opuścić cerkiew i zapukać do domu, w którym mieszka pan Kobalewski.

Archiwariusz pomyślał ze wzruszeniem o szlachetnym Wołodii Polakim, zapewne świat jest pełen takich dobrych ludzi, dzięki nim ludzkość nigdy nie zginie. Przypomniał sobie o wielu młodych i szlachetnych ludziach, o Polakach i Ukraińcach, którzy w tym małym Miasteczku zawisli na szubienicy za to, że nie zgadzali się z okrucieństwem i z zadawaniem śmierci.

Archiwariusz Kobalewski doznał ogromnej ulgi na myśl, że w tych czasach okrutnych i nikczemnych, bohaterskich i tragicznych, jest ktoś taki jak Wołodia Polakim.

Pokrzepiony na duchu pan Jerzy Kobalewski czuł jak serce bije mu mocnym i niezwykłym rytmem. Od wielu lat, od przeszło dwudziestu, nie miał w swoich objęciach kobiety. Przeraziła go myśl: nigdy nikogo nie kochał, i żadna dziewczyna jego też nie kochała. To było tak, jakby sobie w tej chwili uzmysłowił, że zgubił cenny klejnot, którego już nie odzyska. Albo, że zgubił tyle a tyle lat ze swego kalendarza.

Zastąpił szczerze okno, przekreślił klucz w drzwiach i zaświecił lampę. Dziewczyna stała z rozpusz-

czonymi włosami, wydała mu się piękna.

Regina Dampf przestała drzeć, uspokoiła się. Ujęła jego głowę w swoje białe dłonie i pierwszy raz zauważyła, że jego twarz jest miła i bezgranicznie smutna. Rąbkami sukienki otarła izer jego policzków i przytuliła się do niego. Czuli ją przy sobie całą i zdawało mu się, że wszystko co było dotychczas i wszystko co jest, cała przeszłość i

cała współczesność zapadają się nagle w ochnię bez dna.

Nazajutrz rano archiwariusz wstał pierwszy. Regina Dampf spała jeszcze. Stał nad nią cichutko, patrzył na nią zachwycony i porównywał ją do rudej damy Tycjana. Przez chwilę zdawało mu się, że to właśnie Regina jest tą rudą damą, a on sam Tycjanem. Dumny był, jak mistrz i twórca bywa dumny ze swego dzieła.



Dotknął jej twarzy, delikatnie muskał jej skórę, nie zbudziła się, ale zdawało mu się, że jej usta układają się w leciutki uśmiech.

Nazajutrz. Nazajutrz w rocznicę śmierci Petlury oddział SS Galizien wmaszerował do Miasteczka po to, by na trzy dni objąć władzę i pomścić śmierć atamana, zamordowanego na paryskiej ulicy przez ukraińskiego Żyda Szwarzbardta. Przez trzy dni i trzy noce Niemcy byli widzami, a ukraińscy faszyci mieli prawo wolnej ręki. Przez trzy dni i trzy noce trwało polowanie na ludzi, strzelanina, krzyk torturowanych, krzyk, który w pewnej chwili urwał się i zamienił w ciszę śmierci.

Archiwariusz wychodził jak zwykle do pracy i pod różnymi pretekstami starał się wrócić do domu wcześniej. Do gospodyni miał zaufanie, wiedział, że od tej strony Regina nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale bał się tych nieprzewidywanych, przypadkowych, na pozór drobnych epizodów, które wkraczają niekiedy w życie człowieka wtedy, gdy się najmniej ich spodziewa; wkraczają i niszczą całą egzystencję, wszystkie nadzieje, wszystkie dobre plany i zamiary. Drżał ze strachu, miał teraz o kogo się bać — nie tylko o całą ludzkość, ale także o tę jedną bezbronną dziewczynę, która w jego ręce złożyła swoje kruche życie. Kochał ją.

W trzecim dniu uroczystości poświęconych pamięci atamana obok domu, w którym mieszkał archiwariusz prowadzono grupę Żydów; ukraińscy żołnierze z SS Galizien prowadzili ich na okopisko. W tyle za innymi ledwo poruszając obrzękłymi nogami włóki się głuchy sta-

ry Dampf. Regina widziała go przez okno, patrzyła na jego lysą głowę, na zgarbiony grzbiet — a on akurat w tej chwili właśnie oglądał się; przez cały czas, przez całą drogę nie oglądał się, a właśnie w tej chwili, tak jakby poczuł na sobie spojrzenie córki. Widziała jego oczy, szeroko otwarte, inne niż zwykle, nie wesołe, i nie bystre jak dawniej, ale zdumione czy nieprzytomne, nic nie rozumiejące. Dlaczego rozglądał się dokoła? Kogo szukał? Czy chciał wiedzieć, gdzie są teraz jego córki, jego przyjaciół i znajomi? Żołnierz trafił go łufą karabinu, stary człowiek zatonął się i przyspieszył kroku, ale nadal pozostawał w tyle.

Regina Dampf narzuciła na głowę chustkę i wyszła z domu. Biegła środkiem ulicy i krzyczała głośno: „Tate, tate!” Nigdy nie mówiła do niego „tate”, nigdy z nim ani z nikim nie rozmawiała po żydowsku, ale tym razem tak właśnie krzyczała, ludzie to słyszeli, zapewniali potem, że tak właśnie krzyczała, nie inaczej.

Po chwili szła już razem z ojcem. Trzymali się za ręce, tak jak wtedy, gdy była jeszcze małą dziewczynką i ojciec prowadził ją na spacer za miasto i może nawet wtedy także szli tą samą ulicą w stronę starego żydowskiego cmentarza. Ale wtedy nikt ich nie ponaglał i wtedy nie padał deszcz tak jak w tej chwili i nie było żołnierzy ukraińskich w niemieckich mundurach, z karabinami.

Regina szła przed siebie z zamkniętymi oczami, tak było lepiej, tak nie czuła strachu, tak mogła nie myśleć o tym, że idzie na

(Ciąg dalszy na str. 4)

Głos w dyskusji na temat PDK

## KULTURA... OD BIURKA

Przed kilku laty na jednej z konferencji w Ministerstwie Kultury i Sztuki pewien starszy, doświadczony działacz kulturalny powiedział — (o ile dobrze zapamiętałem) — takie mniej więcej słowa: „Przed wojną paru chłopaków wiejskich zebrało się pod gruszą, pośpiewali sobie raz, drugi, potem doszli do nich inni i powstał chór, czasem nawet jakimś cudem tworzone orkiestrę wiejską. Dziś państwo buduje domy ludowe, funduje drogie instrumenty, oplaca instruktorów... a zespołu trudno się dochować”.

Można by owemu działaczowi odpowiedzieć, że ten przedwojenny zespół „spod gruszy” powstał na zasadzie poszukiwania ratunku przed śmiertelną nudą i marazmem ówczesnej polskiej wsi.

Dziś zaś wieś ta ma radio, telewizor, klub, kawiarnię etc. Można by tak odpowiedzieć tylko, że to nie byłaby pełna prawda. Mamy bowiem świadomość, że zawsze istnieją, istnieją i chyba będą istnieć ludzie, którzy chcą nie tylko percypować kulturę. W dużych ośrodkach wielkomiejskich obok profesjonalnych instytucji kulturalnych — kin, teatrów, filharmonii, istnieją i rozwijają się znakomicie zespoły amatorskie (choćby studenckie).

Rzecz w tym, że ani tego przedwojennego zespołu „spod gruszy” ani powojennego teatru studenckiego „nie wyдуманą przy biurku”. Ani tym, ani też tamtym nie administrował pluton urzędników. Zaden z nich nie powstał w oparciu o gotowy schemat.

Urzędnicy mogą rozumnie pomagać, ale nie tworzyć. Urzędnikami bowiem są bez wątpienia prawie wszyscy kierownicy domów kultury oraz instruktorzy.

Ludzie, zresztą jak wiemy, najczęściej zupełnie przypadkowo związani z kulturą.

Przeciętny Powiatowy Dom Kultury, to biuro, w którym kierownik wraz ze sztabem instruktorów... — urzędników urzęduje od godziny 8 do 15. Telefony, pisma, narady, czasem wyjazdy w teren, skąd przywozi się sprawozdania: papierki, papierki... Po południu, czyli wtedy, kiedy PDK powinien działać, snuje się po nim, jakiś jeden dyżurny instruktor. Ci pracownicy k.o. borykają się z licznymi trudnościami, często nie mają żadnych kwalifikacji, nie są przecież fachowcami w żadnej z dziedzin sztuki ani też oświaty. Mają dylentanckie, chaotyczne wiadomości o wszystkim i o niczym, zdobywane na różnych kursach i kursikach. Ci ludzie powołani zostali do tworzenia „powiatowej kultury”.

Pracowitość, dobre chęci, zalety, którymi wielu spośród nich się odznacza nie pomogą im w osiągnięciu rangi twórcy czy też tylko krzewiciela kultury i oświaty.

Cóż więc robić? Odpowiedź na to pytanie niech będzie krótka rela-

cja, dotycząca jednego z etapów dziejów przemysłowego PDK.

Myślę o krótkim okresie świetności tej placówki, o czasach, kiedy to przemysł PDK był notowany w Ministerstwie Kultury i Sztuki jako jeden z najlepszych w Polsce. Były to czasy, gdy silna i odpowiedzialna Rada Społeczna pomagała w pracy. Nawet finanse PDK były zasilane przez fundusze wypracowane przez Radę Społeczną (z imprez).

Mózgiem i sercem pracy kulturalno-oświatowej był Zespół Konsultantów. Praca Zespołu Konsultantów stała się podstawą działalności ruchliwej i funkcjonalnej wówczas Poradni Metodycznej. Zespół stanowił ludzi, mający rzeczywiście coś do powiedzenia na temat kultury i oświaty. Pamiętką tych czasów jest dla mnie teczka opracowań meto-

dycznych publikowanych przez członków Zespołu Konsultantów. Jest tam bardzo dobre opracowanie metodyczne egzemplarza reżyserskiego sztuki, scenariusz zabawy sylwestrowej, scenariusz wystawy rolniczej, montaż poezji regionalnej, parę numerów miejscowego tygodnika, zawierających wkładkę, będącą organem sekcji naukowej PDK.

Były to czasy, gdy w przemysłowym PDK mniej się urzędowało, więcej zaś twórczo pracowało.

Do PDK zaczęli przychodzić mieszkańcy miasta, przyjeżdżano z powiatu. Około dwu lat trwała cała impreza. Powie ktoś, że krótko, że warto było kontynuować tę działalność, że dopuszczenie czynnika społecznego do udziału w pracach PDK ma chyba sens.

IRENA PITULA-ROŻNIATOWSKA

Cecylia Błońska

W stronę niżu

## STAROŚĆ NIEJEDNO MA IMIĘ

— Za nic, powiadam ci, za żadne skarby świata nie przeszłabym do szkoły średniej!

— Ale dlaczego? Cóż to za różnica dla ciebie, tak doświadczonej, energicznej...

— ...przedsiębiorczej itp. itd. — przerwała mi gwałtownie, i letnia tradycyjna rozmowa przy niedzielnej kawie (ze znakomitym orzechowym tortem „na wykończeniu”) przeszła w gorącą dyskusję.

Ta, która tak namiętnie oponowała przeciwko perspektywie przejścia do szkoły średniej, jest znaną w swoim mieście powiatowym specjalistką w nauczaniu przedmiotów ścisłych, wieloletnią nauczycielką, acz młodą jeszcze osobą, „znakomicie radzącą sobie w szkole podstawowej.

Jej wywody przeciwko ewentualnej zmianie miejsca pracy dotyczyły przede wszystkim obyczajów pewnego odłamu starszej młodzieży, jej całkowitego jakoby braku

intymnych, emocjonalnych, ambicjonalnych.

Pozostawiając każdemu swobodę wyboru swego wyglądu, posługiwanie się geriatryą, kosmetyką, stwierdzić jednak wypada, że żalosny to widok taka mini-babela, czy po prostu stara dziewczuszka lub stary wyczerniony chłopczyk (mój dziadek nazywał to „wyszwarcowany”), dzielnie udający naturalną, ułotną młodość.

Nie dajmyż się ludzi nieprzemijającej jakoby młodości śpiewaków, aktorów, gdzie przede wszystkim aktorski talent pozwala im przedstawić taki a nie inny obraz swej osoby. Niezapomniana Sara Bernhardt, której całe długie życie było jedną wielką anegdotą na temat nieprzemijającej młodości, w wieku lat kilkadziesiąt z oburzeniem protestowała przeciwko obsadzeniu roli współpartnera aktorem o ponad 20 lat od niej młodszym, dowodząc, że będzie przy nim wyglądała jak jego... wnuczka. Nie szukając po scenach i teatrach świata, warto sięgnąć do rodzimego repertuaru teatralnego wiecznej młodości.

Gdy pewna promiennie młoda diuseusa rodzimej operetki gościnnie prezentowała w Rzeszowie swój wdziek, urodę, minoderie prawie dziewczęcą, spełnając małżonkowi w formie rzeczowej, a całkowicie prawdziwej informacji:

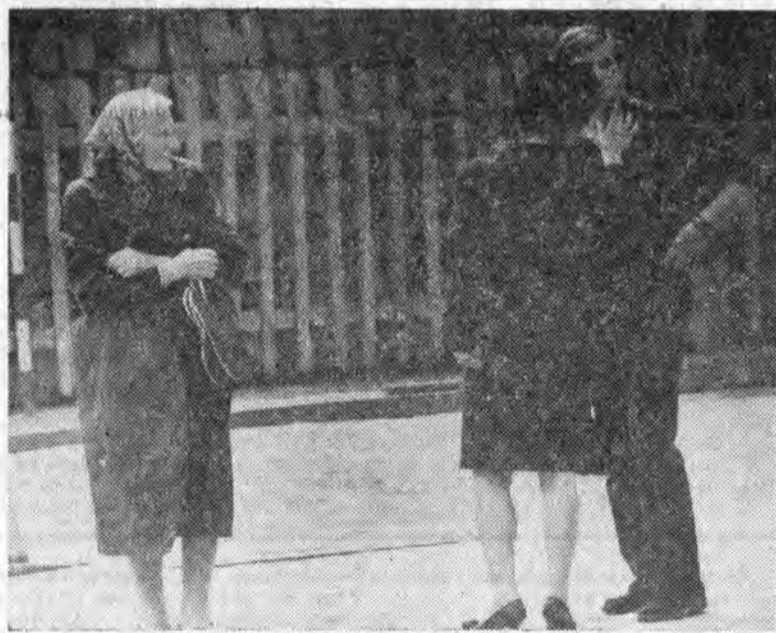
— Widzisz, ona tak samo już wyglądała na scenie, gdy ja chodziłam do VI klasy gimnazjalnej. Było to w mieście P.

On popatrzył na mnie z rozbawieniem i odpowiedział niezbyt cicho: — Nie mogłabyś tak wymyślić czegoś bardziej prawdopodobnego?

Raz na zawsze przy tym świadectwie metrykalnym przestałam się upierać. Na tej zasadzie dawno już zapewne po wysiadali równieńczy popularnego piosenkarza, aktualnie gościa naszych estradowych scen, od wielu dziesiątków lat ulubieńca publiczności, kobiet w różnym wieku, w kraju i za oceanem. O owej zaś zakochanej parze z jego szlagierowej piosenki — starszej, wytwornej pani i sędziwym panu, którzy regularnie zjawiają się w „Iluzjonie”, by na starym filmie raz jeszcze przeżyć swój romans, swoją młodość, nikt chyba nie powie, że Fogg śpiewa o wapniakach.

Ale życie nie jest iluzjonem...

Najchętniej byłbym starym warchlakowi zasolił pod łopatkę, tak żeby próchno leciało. Będzie mną swoje marne interesy latał... — otaczający wielki obiekt pustawy dziedzińca odbijał te słowa, wypowiedziane raczej cicho, z taką siłą, że mimo woli dobiegły do naszych uszu. Przed chwilą odbywało się w zakładowej świetlicy dość burzliwe zebranie. Pewna stara, kurczowo trzymająca swój stołek rozrabiaka, taka z dętym bagażem bliżej nieokreślonych „zasług”, powodowana osobistymi pobudkami, zawiścią, zazdrością, posługując się obłudnie frazesem o „konieczności odmłodzenia kadry”, próbowała podłożyć tzw. popularnie świnie osobie również niemłodej, usiłując wysadzić ją z siodła owym młodym człowiekiem. Tamten przejrzawszy starczą grę, z



Fot. A. B.

## Gdzie motyle hasają

(Ciąg dalszy ze str. 3)

śmierć, potrafiła nie myśleć o śmierci, udało jej się przestawić tok myślenia, rozpamiętywała tylko to co było dobre: dobry był dotyk ojcowskiej dłoni. Ojciec był kiedyś świetnym kompanem, ten stary głuchy ojciec. Gdy ona była małą dziewczynką, on miał jeszcze normalny słuch. Zwracała się do niego po imieniu, mój Izidorze, mówiła do niego, mój kochany Izidoru, i ciągnęła go za odstające uszy, masz ośle uszy, mówiła, ale kocham cię, bo ty jesteś mój tatuś, i mój synek i gdybyś nie był taki stary, synekczku, mógłbyś zostać moim narzeczonym.

I jeszcze o innych błahych rzeczach i o poważnych, o dobrych rzeczach myślała Regina zbliżając się już do wzgórze cmentarnego, na którym ustawione były na ziemi i podparte darniną karabiny maszynowe.

Myślała też o trzech nocach i trzech dniach spędzonych z archiwariuszem Jerzym Kobalewskim. To, co u niego przeżyła było dobre, a ona to jeszcze teraz czuje w sercu, w duszy.

A tymczasem archiwariusz stał koło swego biurka i patrzył na ponury portret Hilera, i przynosił wzrok na zegarek, co kilka minut

wyjmował ten zegarek z kieszeni i podnosił do ucha, bo ten dzień włókił się nieskończenie wolno. Zdawało mu się, że wciąż walczył i walczył posuwają się wskazówki zegara, a jego niepokój wciąż wzrastał, bał się o Reginę, i kiedy wreszcie zdecydował się przerwać urzędowanie i wywieść kartkę, że musiał udać się do lekarza, ulica była pusta i cicha, i tylko od strony podmiejskich wzgórz słychać było miarową jednostajną kanonadę karabinów maszynowych.

Pokój archiwariusza był pusty. Na łóżku pozostały ślady Reginy. Wgłębienie na poduszce — tu spoczywała przez trzy noce, ta, która miała tytanowe włosy i nie cięła, by jej ojciec był samotny \* godzinie ostatecznej.

Dwadzieścia pięć lat minęło od śmierci Reginy Dampf. Za Miasteczkiem, na wzgórze porośnięte kaliną motyle hasają kolorowe, pasikoniki tańczą, na maleńkich skrzydełkach szersze rzepoła, mrówki baraszkują niezmordowanie, słoncze świeci, słoneczko. Czasem deszcz padają, a mleczce kwitną bogato, złościście, i pachną zioła.

Pójdę na ten wspólny, chwastami zarosnięty grób, w którym spoczywa Regina Dampf, uklęknię i zapłacze. Kiedy umrę, pochowajcie mnie obok niej.

pożanowania dla wychowawców, nie tyle sędziwych już, ile jeszcze w pełni sił, chociaż już nie młodzików.

— I wyobraź sobie — ciągnęła — gdy byłam tam (dotyczyło to szkoły średniej w mieście X), nauczycielka, bynajmniej nie staruszka, przeprowadziła znakomicie nowoczesnie, z nerwem lekcję pokazową. I co powiesz, gdy tylko wyszła z klasy, uczniowie gremialnie skomentowali to słowami: ale nasz w a p n i a k dzisiaj się wysadził!

A skąd w ogóle wzięło się to określenie? W telewizji dzieci bez najmniejszych skrępowań, zgodne z autorami audycji, beceremonialnie nazywają swych rodziców wapniakami. To miano stało się również powszednie w „Szpilkach”, gdzie dosadne rysunki przedstawiają rodziców — wapniaków wyraźnie i pracowicie odmłodzonych, podrygujących w rytm modnego tańca, z pochlebnym komentarzem wymagających dzieciak.

Kiedy indziej znowu, w satyrycznym czasopiśmie tzw. następcy z aprobatą komentują wyjście wapniaków na całą noc, z własnego mieszkania, niezbednego w danym momencie na prywatkę w charakterze tzw. młodzieżowej chaty, oczywiście ze szkiem na miejscu.

Aczkolwiek karykaturalny rysunek bezlitośnie obnaża nieuchronne cechy starości odmłodzonych wapniaków, to i samo życie niejedenkrotnie narzuca starszym ludziom konieczność odmłodzenia się na siłę. W grę wchodzi najrozmaitsze czynniki od z y c i o w y c h, konkurencyjnych, zawodowych do bardziej

miejsca ją pokrzyżował, unicestwił, a soczystym komentarzem opatrzył nieco później, znalazłszy się w gronie ludzi, jak on uczciwych i autentycznych młodych.

Najgorsze bowiem są wapniaki — kombinatory, sięgający po wątpliwe zyski dla siebie drogą grażenia rówieśników.

W iluz zakładach pracy znany jest typ „młodego”, nieustannie młodego pracownika, który ma już osiwiacie skronie, kilkoro dorastających dzieci, ale nadal trwa niezmiennie jako k t o s m i o d y. To jemu pieczołowicie powinni pomagać starsi. To z ich winy nie mógł się nauczyć, przysposobić, zaaklimatyzować, wciągnąć. Z zawzięci, że on jest młody, a oni starzy, nie chcieli mu tego ułatwić. Pod presją rzekomego wyżu, doświadczeni pracownicy nie zawsze decydują się na jasne postawienie sprawy. Ze facet jest niedouczony, że nie pracuje nad sobą, że przez przypadek trafił na stanowisko przekraczające jego możliwości. I że poza zażartą walką z wapniakami — w tym wypadku są to skostniałe jakoby w mitymnie „szlachetnie zakładu” — nie wykazuje żadnej inicjatywy, by podciągnąć się, dojrzeć, by przejść co dawno już winno mieć miejsce, do grona starszych w c h pracowników lub też usnąć swego miejsca rzeczywiście młodemu, a odpowiednio przygotowanemu następcy.

Wskazuję tu warianty typowe, drasliczne, niepowodzenie bynajmniej dla naszego życia, gdzie około 50 proc. społeczeństwa stanowią ludzie starsi i starzy. Są wśród nich znakomici specjaliści z najrozmaitszych dziedzin, przedstawiciele tradycyjnych zawodów, lekarze o znanych w świecie nazwiskach, inżynierowie, pisarze i reprezentanci dziedzin całkowicie nowych — wynalazcy, konstruktorzy laserów, reaktorów atomowych.

Nigdzie bowiem nie jest napisane, i żadna praktyka tego nie potwierdza, że tylko przy młodości sprawny mózg, talent i rozum w takiej obfitości (już Kochanowski: stwierdzał coś wręcz przeciwnego), a 59-letni powiedzmy wapniak nie może nagle okazać się genialny, odkrywca, a nawet rewelacyjny i młody.

Jeśli jeszcze zechce pamiętać o tym, że prawdziwa młodość organicznie nie cierpi naszych rzewnych i rozwieklých wspomnień o ciężkiej młodości, o nauce w szkole opłacanej korepetycjami, których udzielałiśmy sami jeszcze dziećmi będąc, o naszych wyrzeczeniach, trudach, o bezwzględnej subordynacji, jaką byliśmy winni i świadczylimy rodzicom (nie waząc nawet w myślach nazywać ich pogardliwie; określenie wapniak nie zdołało jeszcze wówczas wzbogacić słownika polskiego), piaszczyną wzajemnego porozumienia wyraźnie się rozszerzy, ożywi i... odmłodzi.

Tym zaś niemilosiernym młodziekom, którzy chcieliby co rychlej każdego, kto nie ma ochoty ukrywać swej siwizny grubą warstwą hiszpańskiej czerni lub tytanowej czerwieni, pragnąc starzeć się z godnością, najchętniej własnoręcznie strącać ze skały tarpejskiej, warto przypomnieć, że takie dążenie charakteryzuje jednostki czy całe formacje społeczne, niesłychanie prymitywne.

Jakieś wapniaki, skamieliny czy wręcz pierwotniaki cywilizacji, rażonej zwapnieniem, s k l e r o z a zanim nie tylko zdołała osiągnąć młodzięczy rozwój, ale stopień bo daj infantylno...

CAF — SZYPERKO



# Coś tu nie gra

Najwięcej powodów do dumy, satysfakcji; największe poczucie osobistego uprzywilejowania winni mieć w naszym kraju członkowie jury najrozmaitszych festiwali, konkursów i przeglądów związanych z ruchem amatorskim. Mogą bowiem oglądać tyle interesujących imprez artystycznych, spektakli teatralnych, występować często znakomitych recytatorów i piosenkarzy — mogą odbierać wyniki wielomiesięcznego trudu tysięcy ludzi z zapaść wiosek i ośrodków przemysłowych wyżywających się w pracy artystycznej. Oczywiście to szczęście jest uboższe ilościowo w komisjach powiatowych czy wojewódzkich, ale na szczeblu centralnym jurorzy nie mogą się uskarżać na brak życia kulturalnego. Jeśli bowiem istnieje w Polsce około 23 tysięcy amatorskich zespołów artystycznych z różnych dziedzin, skupiających około 300 tys. ludzi i jeśli założymy, że każdy z tych zespołów, na którymś tam poziomie poddaje się wyrokowi komisji jakiegos tam festiwalu i dla tej grupki 4 lub 5 osób stara się uderzyć w wielki dzwon sztuki — to wiadomo, ile to daje godzin wzruszeń na statystycznego jurora. Choć prawdę powie- dzawszy to i tych jurorów jest sporo. Mielismy bowiem w ostatnich latach piękny urodzaj na festiwalach i konkursach. Bo to i doroczny, ogólnopolski konkurs recytatorski, i ogólnopolski festiwal teatrów poezji, i ogólnopolski konkurs recytatorski poezji radzieckiej i także festiwal teatrów poezji, i Festiwal poezji im. Gałczyńskiego w Szczecinie, imienia Broniewskiego w Płocku, a także festiwal piosenki radzieckiej dla amatorów oraz festiwal muzyki nastolat- ków, również festiwal związków zawodowych i jeszcze dużo innych. Przegląd, festiwal i podobne imprezy organizuje Ministerstwo Kultury i Sztuki, TPPR, związki zawodowe, ZSP, ZMW, ZMS — urządzają je na swój rachunek wydziały kultury niektórych powiatów itd. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że liczba zespołów amatorskich i festiwali jest do siebie wprost proporcjonalna. To, że uzyskuje się na nich nagrody, wyróżnienia, sławę, publikacje w prasie, jest potężnym bodźcem dla artystów amatorów.

Nie wiem jednak, czy członkowie sądów konkursowych są tak uszczęśliwieni nadmiarem doznań artystycznych, jakby się nam mogło wydawać. Zwłaszcza gdy uprzytomni sobie, że są oni jedynymi widzami i słuchaczami dużej ilości występów zespołów i solistów. Gdzieś po drodze od pierwszych prób np. zespołu teatru poezji do sukcesu w Warszawie, Szczecinie czy Krakowie zgubio no zwykłego, szarego widza z tej wsi czy miasta, w których zespół pracuje. Wiele zespołów wybiera repertuar nie dla mieszkańców Raniżowa czy Białowej, lecz dla komisji w Rzeszowie czy Szczecinie, męcząc się całymimi nocami nie dla dostarczenia kulturalnej rozrywki sąsiadom i mieszkańcom okolicy, lecz dla jurorów. Wiele zespołów pracuje po to, by w prasie napisano — patrzcie w takim Brzostku amatorzy grają Mroźka czy Różewicza — jakąż mamy intelektualną prowincję!

A ilu recytatorów poświęcających tej pięknej sztuce całe miesiące godzin wolnych od pracy wystąpiło chociażby dwa razy na publicznym koncercie w swojej miejscowości? Oczywiście, jeśli nie mieli w swym repertuarze wierszy rewolucyjnych, bo wtedy wykorzystano ich program w części artystycznej jakiejś akademii.

W tym gubieniu przez wiele zespo- łów amatorskich widza z pola swej uwagi tkwi jakiś błąd. To zjawisko, występujące coraz wyraźniej, budzi żywy niepokój. I co gorsza, wydaje się, że nie wszystkim organizatorom festiwali zależy na społecznej funkcji ruchu amatorskiego. Jeśli bowiem w czasie centralnych eliminacji Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych w dziedzinie zespołów teatralnych sala widowiskowa w ZDK w Stalowej Woli była prawie pusta lub w połowie zapełniona młodzieżą zachowują- cą się nonszalancko i niekulturalnie, to znaczy, że organizatorzy eli- minacji nie dojrzeliby szansy właści- wego wykorzystania ambicji i trudu amatorów. Nawet członkom zespo- łów teatralnych nie zapewniono możliwości oglądnięcia wszystkich spektakli eliminacji w Stalowej Wo- li czy w Mielcu, gdyż nikt nie po- myślał dla nich o noclegach i zakwa- rowaniu na trzy dni. A można się chyba było domyślić jak duże zna-

czenie miałyby dla nich skonfronto- wanie swych osiągnięć z poziomem innych zespołów.

Eliminacje konkursu recytator- skiego przebiegają także z reguły przy pustej widowni zarówno po- wiatowe, jak i wojewódzkie. Nic dziwnego, skoro nikomu nie zależy na tym, by uczynić z nich imprezę środowiskową, odpowiednio je roz- reklamować i ścigać do widza.

Ile razy mieszkańcy Rzeszowa mo- gli oglądać znakomite spektakle po- etyczne jednego z najlepszych zespo- łów w kraju „Meluzyny” (prócz szopki rzeszowskiej)? Ile razy wy- stąpił w Sanoku tamtejszy ambitny teatr poezji przy PDK? Kto widział

publiczne przedstawienia zespołu przy klubie Szpitala Wojewódz- kiego w Rzeszowie czy przy klubie Miejskiej Gospodarki Ko- munalnej? Kilkudziesięciu ludzi, na wewnętrznej uroczystości za- kładowej? To stanowczo za ma- ło jak na trud amatorów i koszy finansowe spektakli. Nie twierdzą, że zawsze to wina zespołów. Często nikt nie pomyślał o tym, by dać im możliwość występów, udo- stępniać sale, zorganizować przedsta- wienie... Czy w tej sytuacji amato- rzy z konieczności nie pracują tylko dla jurorów? Chyba więc członkowie komisji sędziowskich, jeśli to zjawis- ko dostrzegają, z gorzką satysfak- cją doznają wzruszeń artystycznych. Zespoły grają, kapele grają, a mimo to coś tu nie gra. Nie chcę bić w alarmowy dzwon, gdyż na razie nie ma jeszcze powodu — amatorski ruch artystyczny rozwija się dyna- micznie — można się jego stanem chlubić. Czy więc warto stwarzać mu sztuczne bodźce festiwalowe w takiej ilości, jeśli to dzieje się ze szkodą dla jego właściwej roli spo- łecznej? Zjawisko eliminowania wi- dza w ruchu amatorskim — gdyby się miało rozszerzać — doprowadzi go do uwiadu. JOTGIEL



Muzeum Okręgowe w Rzeszowie: zbiór XIX-wiecznych sprzętów, portretów, porcelany, eksponowany w dolnej kondygnacji — z zabytkowymi sklepieniami — uzupełniły ostatnio stare artystyczne wyroby ze szkła i kryształu, efektywne świeczniki i in.

Fot. M. KOPEĆ

## Jeszcze jeden portret Jana Sobieskiego

Wśród kolekcji obrazów epoki baroku muzeum regionalnego w Łęczycy znajduje się portret króla Jana Sobieskiego wraz z jego najstarszym synem królewiczem Jakubem i żoną królowiczą Elżbietą, przedstawiający symbolicznie wolę króla przekazania prawa do korony synowi. Z uwagi na liczne uszkodzenia i ubytki obraz poddano zabiegom renowacyjnym. Dokonano ich pod kierunkiem mgr Marii Orthweinowej w pracowni konserwacji zabytków w Warszawie. Obecnie portret powrócił do Łęczycy.

Jak informuje wojewódzki konserwator zabytków w Łodzi Zbigniew Ciekliński, oczyszczenie obra- zu, który wyszedł spod pędzla nie- znanego malarza szkoły północno- włoskiej około roku 1696, tj. już po śmierci Jana Trzeciego, ujawniło szereg niedostrzeżonych dotychczas szczegółów, spod starych werniksów wyjrzały napisy łacińskie i polski. Umożliwiły one np. datowanie por- tretu.



Wespełnian Kochowski: LATA POTOPU 1655-1657. MON, s. 451, cena 28 zł.

Jest to kronika spisana przez znanego w XVII w. pisarza, tłumaczona przez Leszka Kukulskiego. Wstęp — Julian Krzyżanowski, Postawie, przypisy i in- deksu — Adam Kersten.

Janina Siwkowska: KOCHANEK JU- STYNY W WARSZAWIE. KIW, s. 481, cena 60 zł.

Warto odzłakować tę sumę pieniędzy, aby mieć w swaj bibliotece zbiór szkic- ów o dawnej Warszawie z końca XVIII i pierwszej połowy XIX w. Autorka łą- czy bowiem wiedzę naukową z literac- kim talentem. Ciekawe ilustracje, wy- klejka, okładka i papier.

Ludwik Hieronim Morstin: DRAMATY POLSKIE. Wyd. Literackie, s. 472, cena 45 zł.

Czwarty tom pism L. H. Morstina za- wiera cztery utwory dramatyczne. Są nimi: „Burmistrz z Wieliczki”, „Wybrań- cy pod Wiedniem”, „Trudna miłość”, „W słońcu”. Mały, bo 2 tys. nakład.

Władysław Machejek: NIEBO SZUKA ZAGŁA. MON, s. 156, cena 8 zł.

Tragiczny los ekschlopa, który został przed wojną marynarzem, walczył z Niemcami, a po wojnie nie miał odwagi wrócić do kraju. Wszystko to opowia- da bohater w Rzymie, w noc po zabój- stwie Kennedy'ego. Jak zwykle zaangażo- wana.

Colin M. Turnbull: LEŚNI LUDZIE. Tłum. H. Błaszczewicz. Iskry, s. 279, ce- na 18 zł. Naokoło świata.

„O wielkich sprawach najmniejszych ludzi świata, dla których puszca jest matką i ojcem, kochanką i przyjaciele- m — o Pigmejach, ich pogodnym i dobrym świecie, który nie znał zła, o ich ży- ciu codziennym, zwyczajach i obyczaj- ach...”

Alain Gheerbrant: WYPRAWA ORINO- KO — AMAZONKA. Tłum. J. Wrzóska- wa. Wyd. II. Iskry, s. 415, cena 22 zł. Naokoło świata.

Doskonała jest ta seria „Naokoło świa- ta”. Tym razem zbeletryzowany opis mroźnych krew w zylach niebezpiecz- nych, jakich doznała francuska wy-



Zdecydowanie zachwyciło mnie w minionym tygodniu widowisko ba- letowe według sztuki F. Garcii Lor- ki „Dom Bernardy Alba”, do któ- rego scenariusz przygotowali Con- rad Drzewiecki wraz z Jerzym Hof- fmannem; Conrad Drzewiecki zajął się stroną choreograficzną, a sceno- grafie zaprojektowała Barbara Wol- niewicz. Widowisko było piękne; posępne i bardzo hiszpańskie z du- cha; przełożyło na język mimodra- mów trudny i pełen konfliktów dra- mat poetycki Lorki, zdawałoby się niepodatny na takie zabiegi; prze- kładając, zachowało klimat teatru poetyckiego oraz czytelność.

Barbarze Wolniewicz udało się stworzyć dom Bernardy gdzieś z po- granicza kosmaru i zarazem rze- czywistości; Conradowi Drzewiec- kiemu — wydobyć tańcem czy ges- tem gwałtowne namiętność, prag-nienia, uczucia, całą warstwę poję- ciową i światopoglądową. Przynaj- my im prawo do sukcesu, bo prze- cież wcale niełatwa wydaje się ta najbardziej ponura ze sztuk Garcii Lorki o tragicznych kobietach spę- tanych tradycją, umierających za życia i od śmierci gwałtownością uczuć uciekających. Przynajmy, bo widowiska najbardziej telewizyjne, jakimi są balety ostatnio tak lic- ne, niestety, do żadnych osiągnięć nie należały.

Do innych sukcesów minionego tygodnia zaliczyłabym także swo- istą wie romancée Karola Szyma- nowskiego, opowiedzianą jak zwy- kle z nerwem urodzonego causeura przez Jerzego Waldorffa w środo- wym „Spotkaniu z cieniem”. Ta dru- ga po „Spotkaniu z cieniem”, jak ją zwyczajnie i po ludzku uszerego- wał w historii polskiej muzyki sce-

narzysty, o biografii barwnej, ta- lencie genialnym, życiu nietatym w świecie zawistnej koterii muzycz- nej Warszawy lat międzywojennych, w relacji Waldorffa ożyła po raz wtóry. To nie był wywód uczony krytyka, ale ciepłe, chwilami mocno sentymentalne wspomnienie o czło- wieku i tu pewnie leży sukces programu. Bo łatwo powieździeć znawcy o nowatorstwie Szymanow- skiego; mniej łatwo, niestety, pojąć to nowatorstwo zdać sobie sprawę z wielkości geniusza tym, co muzyki jego nie znają, a przecież wielu ta- kich właśnie do telewizora zasiada. Waldorff — mistrz felietonu, a więc formy pozornie łatwej i jesz- cze bardziej pozornie powierzchow- nej zna umiejętność przemyślenia pojęć trudnych w efektownym o- pakowaniu słowa dowcipnego, pro- tego, czytelnego. Cieszyć się więc wypada, że to właśnie on omówił 30 rocznicę śmierci Karola Szymanow- skiego, że on prezentował materiał faktograficzny, że on wreszcie, wielki zwolennik ocalania pamią- tek narodowych, jeszcze raz grzmiał o utworzenie zakopiańskiego muze- um w „Atmie”, która to sprawa święci także już swój kilkuletni fu- biletusz, dodajmy — całkiem nie- chwalebny. Na marginesie samego „Spotkania z cieniem” powiedzmy, że że to, iż Waldorffa tak rzadko gościmy w telewizji z felietonem muzycznym, którego lekkość i wdzięku pozazdrościć mu może nie- jedno znakomite nazwisko spośród tuzów krytyki muzycznej.

By już poza tym pozostać przy dobrych osiągnięciach telewizyj- nych siedmiu dni, przypomnę jesz- cze ostatnią Trybunę Telewizyjną, prowadzoną przez Kazimierza Ka- kola i poświęconą nieswoistej sta- rości, nieswoistemu zagadnieniu wy- żu demograficznego i szukaniu roz- wiązań społecznych tego problemu. Przeciwnicy takich dyskusji nie bez racji powiedzą, że mówieniem nie- wiele zdziałamy; zwolennicy wyto- wią jeden, ale za to ważny szcze- gół, który może przetrwać się przez pokłady obojętnego znieczulenia — owo błaganie Marii Spiczowskiej — wiceprzewodniczącej Związku Emery- talnych i Inwalidów o patronaty nad klubami starych ludzi wielkie, po- sażne w złośliwości, zakłady pracy. Problem trwa, powiększa się, wy- maga powszechnej mobilizacji mo- ralnej i choć nie wierzę, że uchodzi naszej uwagi i dlatego trzeba o nim przypominać — jak to skonstru- ował Kazimierz Kąkol — to jestem przekonana, że istnieją potencjalne rezerwy społeczne, które mogą zła- godzić jego ostrość, odebrać mu ten niechwalebny dla rodzaju ludzkiego zwyczaj nieuznawania praw starego człowieka do spokoju, szczęścia oraz życia osobistego. Bo tak jak i pro- blem — trwa to życie dalej, w do- datku przytłoczone latami doświad- czenia, wyeksploatowane prace, u- dręczone przypadłościami fizycznej nieprawności. Bo istnieją anomalie społeczne, obok których nie możemy przechodzić obojętnie: o jednej z nich — starym człowieku z powia- tu debickiego samiśmy pisali w na- szej gazecie i ponownie przypom- nią ją w ostatniej Trybunie Tele- wizyjnej dyrektor Szpitala w Dębicy oraz działacz społeczny — dr Stanisław Podoba. Przypomniał ja- ko ostrzeżenie i zarazem jako sprawdzian możliwości społeczeń- stwa, które starym człowiekowi przyszło z pomocą po publicznym apelu do jego uczuć.

I tu między innymi leży wartość wszelkich rozmów telewizyjnych na drastyczne tematy; i tu potwier- dza się teza o społecznych rezer- wach, które w każdym z nas drze- mią, a powinny być gromko budzo- ne w czasie jakiegokolwiek zagro- żenia.

Krystyna

## Na naszym ekranie

## SIOSTRY D.D.



WWF zakupiła na nasze ekrany angielski film polskiego reżysera Romana Polańskiego „Wstręt”. Zanim jednak to importowane dzieło naszego rodaka (autora „Noża w wodzie”) pokaże się w kinach, zapoznajmy się z aktorką grającą jedną z głównych ról we „Wstręcie”, a przy okazji także z jej siostrą (którą Polański zaangażował do swojego następnego filmu). Proszę oto siostry DD:

**CATHERINE:** Nazywam się Catherine Dorléac, ale używam pseudonimu Deneuve, który jest panięskim nazwiskiem mojej matki. Mam 22 lata. Mierzę 1,75 cm. Grałam w 14 filmach.

**FRANCOISE:** Nazywam się Françoise Dorléac. Mam 24 lata. Mierzę 1,72 cm. Grałam w 10 filmach, a więc mam ich na koncie mniej niż Catherine.

**CATHERINE:** To da się bardzo łatwo wytłumaczyć, po prostu popełniłam więcej głupstw.

Trzeba przyznać, że ostatnią część tego zdania kryje sporo prawdy i świadczy o szczerości Catherine. Urodzona i wychowana w domu znanych przed wojną we Francji aktorów, mając niepełną 16 lat opuszcza rodzinę, by przenieść się do mieszkanka Rogera Vadima byłego męża Brigitte Bardot i Anette Stroyberg. Już poprzednio wystąpiła wspólnie z Françoise w filmie wyprodukowanym przez Francisca Cosne „Trzaskające drzewo”, a następnie w „Dziś wieczór albo nigdy” Marka Allegretta i „Paryżankach”. Występy te nie wywołały jednak większego wrażenia i dalsza jej kariera wisiła na włosku. Nic więc dziwnego, że prasa francuska zaczęła dość złośliwie komentować jej przyjaźń z Vadimem, twierdząc że uroda aktorki oraz jego talent kreowania staw są najlepszą gwarancją przyszłości Catherine. Jednak choć Vadim rzeczywiście da jej rolę w filmie „Występek i cnota”, to nie on zdecydował o karierze dziewczyny, która zresztą opuszcza go w międzyczasie, zabierając ze sobą małego synka Christiana.

Momentem decydującym w życiu aktorki jest jej rola w filmie Jacquesa Demy „Parasolki z Cherbourg”. Reżyser zaangażował ją do

niego po obejrzeniu Catherine w filmie amerykańskiego reżysera Mel Ferrera i okazała się, że zrobił dobry wybór. „Parasolki”, jeden z najbardziej oryginalnych filmów świata zyskują światową sławę i zdobywają mnóstwo nagród z „Grand Prix” Festiwalu w Cannes na czele. Deneuve grająca rolę Genevieve staje się jedną z najbardziej popularnych aktorek francuskich i to już nie tylko dzięki urodzie. Gra w różnych filmach we Francji, Włoszech oraz w Anglii. Ba, otrzymuje zaproszenie do Hollywood. Pozostaje jednak we Francji, by znów spotkać się przed kamerą ze... swoją siostrą.

Tymczasem Françoise szła inną drogą. Z wielkim trudem na skutek trudności materialnych rodziny kończy studia dramatyczne i rozpoczyna występy przed publicznością. Jej pierwsze filmy to „Le Jeu de la Verité”, „La Gomberge” oraz znane także i u nas „Cate złota świata”, „Arsen Lupin” i „Człowiek z Rio” z Paulem Belmondo. Zwróciły one uwagę na młodą aktorkę, odnosząc wkrótce sukces w rewelacyjnym filmie Francois Truffaut „Gładka skóra”, w którym zagrała młodszą siostrę stewardessy Nicole zakochanej w 40-letnim żonatym mężczyźnie. Stworzyła tu prawdziwą prostą i wzruszającą sylwetkę dziewczyny postawionej przed problemem nie do rozwiązania.

Drogi życiowe siostr zaczęły się stykać. Po Catherine także Françoise gra w filmie Polańskiego „Ślepy zaułek”, który jest jeszcze bardziej szokujący niż „Wstręt” (nagrada na ubiegłorocznym Festiwalu w Berlinie zachodnim). W następnym filmie zagrały znów razem. Był to realizowany w końcu ubiegłego roku film autora „Parasolek z Cherbourg” Jacquesa Demy „Panny z Rochefortu”. Jest to komedia muzyczna, w której grają role dwóch siostr. Jedną z nich jest nauczycielką tańca, druga nauczycielką muzyki. A więc będziemy mieli okazję podziwiać razem obie „najpiękniejsze siostry filmowe” — jak nazywa je prasa francuska — w ciekawym filmie utalentowanego reżysera.

(sz)

\*) Autentyczne.



IZABELLA GORGOŃ — przewodnicząca Klubu Służby Zdrowia przy Szpitalu Wojewódzkim w Rzeszowie.

RYS. J. SIENKIEWICZ

## Widnokrąg odpowiada

**IZABELA:** Wiersze, które nam pani nadesłała ujmują szczerością i bezpośredniością, ale trochę za dużo w nich truizmów, sporo naiwności i duże braki w warsztacie poetyckim. Zdarzają się nieporadności językowe i puste miejsca w obrazowaniu poetyckim. Trzeba sporo czytać dobrej, autentycznej poezji i dążyć do większej oryginalności i zwięzłości słowa. Proszę utrzymywać z nami kontakt.

**„KARO” JAROSŁAW:** Erotyki bardzo słabe, przegadane i nieoryginalne. Za dużo w nich opisowości i prozaimów — np.: „Suchy piasek trzeszczał pod stopami // Rzeka błyszczała w dole // Głębka wiklina ulegała miękko przed Tobą... itd. Banaly: „Był księżyc // W twoich oczach tonęły gwiazdy // Była gwiazda pierwszej wielkości // Jak słońce”... Drażni zwłaszcza tania, sentymentalna nastrojowość. Nie skorzystamy.

**M. W. MIELEC:** To nie jest poezja, tylko przypadkowo poukładane w słupki różne słowa, których nie łączy ani wspólny nastrój, ani logiczny sens. Pisze Pan: „Ogarnęła kraj // kataklizmem // zmieniła poglądy // rycerzom // spod znaku funta i dolara // ...Ognia // Krwi... // I rozpalonych do czerwoności // luf karabinów”... Niestety, z takich urywanych zwołań nie można zbudować wiersza.

**„RANDO”:** Wierszyki takie sobie. Jest w nich jakaś melodia i trochę nastroju, ale nie brak też nieudolności i złego smaku. Sporo tu napięto dla rymu, a nie dla myśli. To np. jest bardzo złe...” Czekać na promienie słońca // W zgłębionych lochach północny // Szukać w blasku końca // swego początku w pomroce”... Lepszy jest wiersz „Lubię” choć zbyt piosenkowy, ale wybór dla dziewczyny imienia Inez jednak świadczy o złym smaku autora.

**Z. K-WICZ, POW. PRZEWORSK:** Próbką prozy, którą otrzymaliśmy, niestety, nie nadaje się do druku. Nie widać w tym fragmencie ani rysu jakiegoś konfliktu, ani też jakiegoś problemu. Rozwlekłe opisywactwo, brak obrazowości i indywidualnych cech stylu. Może zresztą całość posiada jakieś wartości, które trudno dostrzec we fragmencie.

**M. B. ŻOŁYŃIA:** „Nie odpowiadamy za złośliwy dowcip Pani koleżanki. Przyniesiono nam wiersze podpisane pani nazwiskiem czy kryptonimem i poproszono o ocenę, więc jej dokonaliśmy używając inicjałów a nie nazwiska. Nie możemy zabraniać pisania wierszy dla siebie, nawet do tego nikogo nie zachęcamy, ale gdy nas ktoś pyta, czy nadają się do druku lub czy mają wartości prawdziwej poezji, staramy się odpowiedzieć. Powinna Pani mieć żal do swego najbliższego otoczenia, jeśli istotnie przysłało nam te teksty bez jej wiedzy.

**P. W. JAROSŁAW:** W wierszu „Radość” pisze Pan: „Dzieciatko się cieszyło // Słoneczko zobaczyło // Piosenkę zanuciło // Bo wiosna! Zaspiewały skowronki // Głosikami jak dzwonki // Zbudziły pola, łąki // Tak wzniosła! Drukujemy te strofy po to, by Pan jeszcze raz je przeczytał i przestraszył się... Te wiersze nie tylko nie mają żadnej wartości literackiej, ale są wyrazem mentalności przedszkolaka.

## Zdarzenia tygodnia

Ostatnio w Rzeszowie odbyło się zwyczajne walne zebranie Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Sprawozdanie w imieniu zastępcy prezesa zarządu złożył sekretarz T. Bieda i B. Cmela. W czasie obrad dokonano oceny działalności oddziału i wybrano nowe władze. W środę, tj. 5 bm. odbyło się zebranie nowo wybranego zarządu. Prezesem został dr F. Błoński, wiceprezesami: mjr F. Osętek i dr J. Półciwiarzek, sekretarzem mgr T. Bieda, a skarbnikiem mgr J. Petrus.

Zespół teatralny „Maska” Rady Zakładowej Zw. Zaw. Prac. Państwowych i Społecznych przy Prez. PRN w Krośnie wystawił w dniu 31 marca br. premierę sztuki „Sprawa Moniki” w reżyserii W. Janiczka.

Spektakl został zakwalifikowany przez komisję do upowszechnienia na terenie naszego województwa.

Odbyły się posiedzenia dwóch sekcji Komisji WKZZ do spraw Opieki Zakładowej Pracy nad Szkołami. Sekcja organizacji czasu wolnego wychowania dzieci i młodzieży omówiła sprawy związane z powoływaniem przy powiatowych komisjach zw. zaw. lub przy oddziałach powiatowych ZNP ewentualnie wydziałach oświaty przez PRN podobnych komisji, pomoc organizacji harcerskiej w przygotowaniu do obchodów 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, działalność k. o. szkół przyzakładowych i hoteli robotniczych.

Członkowie sekcji pracy z rodzicami omówili rolę zakładów opiekuńczych w organizowaniu uniwersyteckich dla rodziców, akcji odczytowej na tematy pedagogiczne oraz sprawy związane z organizacją opieki higieniczno-sanitarnej nad młodzieżą, podopiecznych szkół.

2 kwietnia br. w Muzeum Ziemi Przemysłowej w Przemysku otwarto wystawę „Wyprawa paleontologiczna na pustynie Gobi w fotografii Gwidona Jakubowskiego”.

Ekspozycje obrazujące wyniki ostatnich badań paleontologicznych na pustyni Gobi dostarczyło Muzeum Ziemi z Warszawy.

Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” przygotowuje się do Ogólnopolskiego Przeglądu Sztuk Radzieckich, który odbędzie się w październiku br. w Łodzi. „Kacperek” wystawi na przeglądzie „Rusłana i Ludmiła” Puszkina w opracowaniu M. Siedmiograj.

8 bm. tj. w sobotę w Cergowej pow. Krosno odbywa się uroczystość jubileuszu 20-lecia chóru „ECHO GÓRSKIE” i 15-lecia orkiestry GS „SCh” w Dukli. Chór „Echo Górskie” zastąpił sobie z okazji 20-lecia istnienia na wiele braw za dotychczasowe osiągnięcia, liczne występy dla publiczności, udział w wielu imprezach i festiwalach.

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie trwa kurs przewodników PTTK zorganizowany przez koło przewodników przy Oddziale PTTK w Rzeszowie.

Uczestnicy szkolenia oprócz ogólnych zasad przewodnictwa zostaną przeszkoleni w zakresie niezbędnych wiadomości potrzebnych podczas oprowadzania po Muzeum Okręgowym w Rzeszowie.

W Rokietnicy, pow. jarosławski odbyło się 30 ub. m. szkolenie rejonowe aktywu kulturalno-oświatowego, na którym omówiono formy pracy w placówkach wiejskich. Szkolenie odbyło się w tamtejszym Klubie Książki i Prasy „Ruch”.

## NOWOŚCI KULTURALNE

„DIES IRAE”  
OŚWIECIMSKIE ORATORIUM  
KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

16 kwietnia odsłonięty zostanie w Brzeżynie pomnik - mauzoleum 4 milionów ofiar Oświęcimia. W czasie manifestacji wykonane będzie po raz pierwszy oratorium „Dies irae” Krzysztofa Pendereckiego, poświęcone pamięci zamordowanych w tym najwięcej obywateli zagłady.

W rozmowie z przedstawicielem PAP kompozytor powiedział, że myśl napisania tego utworu nurtowała go od dawna. Najtrudniejszą sprawą — mówi — było znalezienie odpowiednich tekstów traktujących o męczeństwie. Wybrałem ich kilka — z różnych epok i różnych autorów — od Ajkschylosa do Ąouisa Aragona, który napisał wiersz o Oświęcimiu. Jak widać, nie opierałem się wyłącznie na tekstach związanych bezpośrednio z Oświęcimem. Przygotowanie tekstu zajęło mi najwięcej czasu — od września do końca grudnia ub. roku.

Utwór jest już gotowy. Składa się z trzech części: „Lamentu”, „Apokalipsy” i „Apoteozis”. Wykona go chór i orkiestra Państwowej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie z udziałem 3 solistów. Jednym z nich będzie znakomity nasz śpiewak Bernard Ładysz.

Wydaje mi się — mówi kompozytor — że o Oświęcimiu można mówić i pisać, ale najdłuższą przetrwała dzieła sztuki. Historia dowodzi, że pamięć ludzka jest, niestety, bardzo krótka.

Krzysztof Penderecki poinformował następnie, że pracuje nad operą do tekstu o XVII-wiecznym procesie inkwizycyjnym we Francji. Tekst jest bardzo podobny do ukończonego obecnie „Dies irae”.

Równocześnie kompozytor pisze mszę do tekstów starocerkiewnych. Będzie to utwór dwuczęściowy i składać się będzie jak gdyby z dwóch mszy, które wykonane będą jednocześnie.

Na warsztacie autora „Pasji” znajduje się też koncert skrzypcowy.

## TEATR NARODÓW 1967

Jean-Louis Barrault, znany aktor francuski, obecnie dyrektor Teatru Narodów, przedstawił na konferencji prasowej program tegorocznego sezonu na tej scenie, który trwać będzie od 2 maja do 1 lipca.

W imprezie udział wezmą zespoły 9 krajów, które zaprezentują 11 spektakli.

Teatr Dramatyczny z Dusseldorfu wystawi sztukę Heinricha Kleista „Książę Homburg” w inscenizacji Karla Heinza Stroux oraz „Tango” Mroźka. Królewska Opera Covent-Garden z Londynu wystąpi z prapremierą opery Benjamina Brittena „Sen nocy letniej”. Teatr Kathakali z Indii przedstawi balet-pantomimę. Jeden z najbardziej znanych teatrów nowojorskich „Circle in the square” zaprezentuje „Trumpets of the Lord”, sztukę autora murzyńskiego Jamesa Johnsona Weldona. Teatr „Na Zabradli” przyjedzie z „Procesem” Kafki w reżyserii Jana Grossmana. Zespół teatralny z Tunisu wystawi dramat historyczny Habiba

Boularesa „Murad III”. „Piccolo Teatro di Milano” zaprezentuje sztukę Pirandella „I Giganti della montagna” w reżyserii Giorgio Strehlera. Teatr z Kuby wystawi „Noc morderców” młodego autora Jose Triana, który otrzymał za ten utwór nagrodę „Casa de las Americas”.

„LUDZIE PIÓRA I TURYSTYKI”  
W SPICIE

Sześć dni trwał w starym dioklejańskim Splicie spotkanie „Ludzi pióra i turystyki”, którzy za dewizę przyjęli hasło — „Turystyka — paszport pokoju”. Wprawdzie niektórzy zaproszeni zawiedli nadzieje organizatorów — Moravia, Rossellini, Chaplin, Brigitte Bardot nadesłali tylko depesze z pozdrowieniami — ale mimo to było z kim i o czym rozmawiać.

Delegacja radziecka dominowała — liczyła 17 osób, wśród nich Simonow, Gonczarow, Karabagajew i Batałow. Z Polski przyjechali — wiceprezes ZLP Artur Międzyrzec-

ki, Jan Górec-Rosiński, Kazimierz Dębicki.

W dyskusjach akcentowano zwłaszcza społeczną i polityczną rolę turystyki, która łamie wszelkie bariery i służy wzajemnemu poznawaniu się ludzi, niezależnie od ustroju i szerokości geograficznej. Kiedy słuchało się wystąpień przedstawicieli różnych krajów, przepojonych wolą zniesienia wszelkich przeszkód w komunikacji międzynarodowej, to wydawało się, że spotkali się ludzie wyprzedzający swoją epokę.

MILHAUD I STRAWIŃSKI  
KU CZCI KENNEDY'EGO

W Paryżu wykonano dwa utwory symfoniczne poświęcone pamięci prezydenta Kennedy'ego. Autorami są Igor Strawiński i Dariusz Milhaud.

Kompozytor francuski, który jest również autorem utworu poświęconego encyklice papieża Jana XXIII „Pacem in Terris”, napisał swoje dzieło w ciągu jednej nocy.

Utwór Strawińskiego nosi tytuł „Elegia ku czci Johna Fitzgeralda Kennedy'ego”. Kompozytora łączyła z prezydentem głęboka przyjaźń.

(Kt-PAP)